

Madej, Szczepan

Losy po powstaniu

Przegląd Pruszkowski nr 1, 50-54

2010

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Szczepan Madej pseudonim „Suchy”, „Ford”

Zgrupowanie „KRYBAR”

Zmarł w Piastowie w grudniu 2009 r.

Losy po Powstaniu

W pierwszych dniach września 1944 roku dostałem rozkaz od szefa kompanii „Anastazji” udania się samochodem Hanomak na ulicę Tamka róg ulicy Smulikowskiego, aby być do dyspozycji służb sanitarnych w celu przewożenia rannych. Jadąc ulicą Tamka, przy wjeździe do sióstr zakonnych, zatrzymał mnie żołnierz, który kierował ruchem. Tamka była ostrzeliwana przez kanonierkę Wiśły. Charakterystyczne położenie tej ulicy powodowało iż pociski dochodziły tylko do ulicy Topiel, a to ze względu na spadistość i stromość Tamki. Czas ostrzału między jednym pociskiem a drugim był wykorzystywany na przejazd samochodów. Dostałem znak jechać – ruszyłem i po kilku metrach –stop. Przy ulicy Solec został strącony z barykady kozioł drewniany obity drutem kolczastym i zabarykadował przejazd. Wskoczyłem z samochodu, aby usunąć przeszkodę. Drutem kolczastym pokaleczyłem rękę. Usunąłem kozła, wsiadłem i szybko pojechałem dalej. Na odcinku ulicy Solec a ulicą Dobrą dostałem pociskiem z kanonierki (kaliber działka był mały, ale i tak to wystarczyło, aby po wybuchu pocisku stracić przytomność i odnieść poważne obrażenia ciała).

Znalazłem się na punkcie zbiorczym, gdzie przewoziliśmy rannych. Obudziłem się po dłuższym czasie, już opatrzony i obandażowany. Dowiedziałem się od Sióstr, że jestem pokaleczony, ale całe szczęście, kości mam całe. Poważnym uszczerbkiem jest tylko głęboka rana po odłamku w szczęce z lewej strony. Koledzy z kolumny pomogli mi wsiąść do ich samochodu (mój został spalony) i przyjechaliśmy do bazy.

Sytuacja Powiśla stawała się ciężka pod naporem ostrzałów i z tego względu zdecydowałem się udać do Śródmieścia. W nocy w towarzystwie znajomych i mojej koleżanki Elżbiety Dąbrówki ruszyliśmy w drogę.

Szliśmy nocą ulicą Kopernika, gdzie z piwnic zawalonych domów słychać było głosy ludzi nawołujących pomocy. Nie zapomnę nigdy tych głosów i naszej bezradności. Nocą dotarliśmy na ulicę Hożą, gdzie znaleźliśmy miejsce w piwnicy, w której zatrzymaliśmy się do rana. Następnego dnia udaliśmy się przekopami pod domami w stronę ulicy Mokotowskiej, by nabrać wody z istniejącej tam otwartej studni. (wodociągi nie działały). Ludzie stali po wodę w długich kolejkach – by ją zdobyć, trzeba było zejść po drabinie do odkrytej studni i tam nabierać wodę niewielkim naczyniem.

Istniała możliwość, z której skorzystałem, że po nabraniu 10-ciu osobom wody, sam miałem prawo bez kolejki wziąć wodę dla siebie. Nie było to bezpiecznie, ponieważ przez cały czas padały bomby i pociski tzw. krowy

Gdy wróciliśmy z wodą na Hożą, domu już nie było, ani naszych ciepłych ubrań – wszystko było zasypane przez gruzy zombardowanego domu.

Ostatni miesiąc powstania spędziliśmy w piwnicy, a potem w opuszczonym mieszkaniu na parterze w oficynie przy ulicy Pięknej 11. Wkrótce pocisk zniszczył mieszkanie, ocaliliśmy tylko dzięki temu, że stanęliśmy pod sklepieniem drzwi wejściowych. Przeżeni, obsypani fosforem, który najprawdopodobniej był składnikiem pocisku, trafiliśmy do piwnicy sąsiedniej oficyny tego domu wzbudzając popłoch (w tej piwnicy przetrwaliśmy do kapitulacji). Byliśmy bardzo słabi. W ciągu dnia znalazłem się na punkcie opatrunkowym na ulicy Mokotowskiej 55. Tam zostałem poddany dokładnemu badaniu i usunięciu odłamka ze szczęki.. Tam też zmieniano mi raz w tygodniu opatrunek.

Warszawę opuściliśmy wraz z ludnością cywilną. Na rogu ulicy Chłodnej i Placu Kercelego oddziały powstańcze składały broń. Ludność cywilna szła dalej ulicą Wolską do kościoła i dalej do wia-

duktu. Tam stał młody porucznik Wehrmachtu, który decydował o dalszych losach ludzkich. Chyba Duch Święty natchnął nas myślą, aby zwrócić się do niego o pomoc. Wysłuchał nas, że chcemy dostać się do rodziny, do Piastowa – tłumaczył, że możemy jechać z Dworca Zachodniego. Wreszcie machnął ręką i odszedł. Przyjęliśmy to jako dobry znak i ruszyliśmy za wiadukt. Obawialiśmy się strzału w plecy...

Przechodząc koło cerkwi prawosławnej zauważyliśmy duży ruch. Odbywał się pogrzeb wielu wasowców. Przy żywopłocie stało dwóch chłopców, którzy przywołali nas do siebie i ostrzegli, abyśmy nie zbliżali się do miejsca, w którym odbywał się pogrzeb, ponieważ Niemcy wszystkich zatrzymują. Chłopcy, których chyba sam Pan Bóg nam zesłał, przeprowadzali wszystkich, którzy uciekali z Warszawy – prowadzili nas sobie tylko znanymi ścieżkami. Trasa szła równolegle do szosy – dotarliśmy do stacji Mory. Po drodze udzielili nam szereg cennych uwag między innymi, byśmy szli polami i ominęli Gołąbki. Dotarliśmy na przedmieścia Piastowa na ulicę Orła Białego do kuzynki, która dostała wiadomość, że moja mama żyje i jest we wsi Wołuczka między Rawą Mazowiecką a Skierniewicami.

W Piastowie przy ulicy Dworcowej mama Eli miała mały domek, do którego udaliśmy się. Cztery dni później wojsko niemieckie rozbiło się w ogrodzie. Byli tak zmęczeni, że spali na trawie. Rano, gdy wyszedłem przed dom, zostałem wylegitymowany przez wartownika. Zaczęliśmy rozmawiać. Pytał o Warszawę i lata okupacji. Sam, student psychologii, wróg Hitlera został zmobilizowany i wysłany na tereny polskie. Poradził nam, byśmy rano, przed godziną 9.00 wyszli do Ursusa i tam wsiedli do pociągu, do jednego z dwóch pierwszych wagonów, zwanych poławiaczami min. Dodał, że jeśli zostaniemy to nazajutrz Niemcy nas aresztują.

Następnego dnia już o godzinie siódmej rano byliśmy na dworcu w Ursusie. Wyjechaliśmy szczęśliwie – pociąg zatrzymał się dopiero w Żyrardowie. Znaleźliśmy się w innym świecie, na dworcu było pełno wojska węgierskiego. Żołnierze byli bardzo

mili, częstowali nas sucharami i konserwami. Ruszyliśmy dalej do Skierniewic. Tu sytuacja była inna. Przy wyjściu z dworca stali Niemcy i wszystkich szczegółowo kontrolowali

Kolejarz, który zauważył naszą niepewność, podszedł do nas i zaprowadził za budynek kolejowy, gdzie mieliśmy czekać na niego. Gdy po paru godzinach przyszedł do nas, oznajmił z uśmiechem, że dziś jest „święto dyszla”, w związku z tym chłopci, jadący do domu, chętnie nas zabiorą.

Do Wołuczy mieliśmy jeszcze 15 km. Chłop, który zabrał nas ze stacji w Skierniewicach, wysadził nas przy starym młynie skąd mieliśmy do wsi jeszcze 4 km. Wstąpiliśmy do młyna, by dowiedzieć się o sytuacji panującej w okolicy. Poznaniak, który prowadził młyn zorientował się, kim jesteśmy, poczęstował nas obiadem i wskazał bezpieczną drogę. Ostrzegł, byśmy nie szli szosą, ponieważ możemy spotkać Niemców, którzy budują umocnienia na Rawce.

Po długiej wędrówce dotarliśmy do mojej mamy. Przywitaliśmy się ze łzami radości.

Zamieszkaliśmy u rolnika pana Recha. Zaofiarowaliśmy mu pomoc w gospodarstwie, której nie przyjął, sam bowiem wiele wycierpiał w czasie pierwszej wojnie światowej.

W listopadzie do wsi przybył mały oddział partyzantów. Marszerowali w Góry Świętokrzyskie Na drugi dzień po zakwaterowaniu partyzantów przyjechali do Wołuczy Niemcy żądając kontyngentu. Partyzanci, aby uniknąć starcia, ukryli się w piwnicach. Niemcy, szukając masła i innych produktów, natknęli się na partyzantów. W starciu, którego się nie spodziewali, zginęło kilku policjantów niemieckich – reszta uciekła. Zdawaliśmy sobie sprawę, że sytuacja jest nieciekawa. Następnego dnia rano wieś została okrążona przez Własowców. Z obawy przed agresją mieszkańców do przeszukania domów Niemcy wyznaczyli polskich policjantów, których przywiózł ze sobą żandarm niemiecki. Siedzieliśmy w chacie w kuchni przy piecu do suszenia drzewa. Nagle wszedł polski policjant i zażądał kennkarty równocześnie wpychając nas

za piec. W chwili, gdy wchodziłem za piec, zauważyłem Niemca, który chciał zajrzeć do kuchni przez okno. Jednak policjant polski szybko wyszedł przed dom i zawołał „alles gut”.

Niestety, nie wszystkim się udało. Kilka osób, które wpadły Niemcom w ręce zostało rozstrzelanych w Piotrkowie.

My (Elżbieta Dąbrówka i ja), szczęśliwie ocaleni, wzięliśmy ślub 5 grudnia 1944 roku, o godz. 9.00 rano w kościele parafialnym w Kurzyszewie. Nasze wesele było oryginalne! O godzinie 12.00 zaczęliśmy pomagać przy młóceniu żyta.

Po wkroczeniu Rosjan wróciliśmy do Warszawy. Mieszkanie na Tamce było zniszczone, na szczęście nie spalone. Zaczęło się nowe, trudne życie pod rządami komunistów. Wraz z kolegą podjąłem pracę w firmie braci Balickich. Remontowaliśmy razem zniszczonego Forda dla zakładu, w którym pracowałem przed wybuchem Powstania Warszawskiego.